

JACEK GUZ

BROSZURA



BROSZURA

ILUSTRACJE

JACEK GUZ



Zrealizowano przy pomocy środków finansowych
województwa lubelskiego

oraz

Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Miejskiego w Lublinie



JACEK GUZ

BROSZURA

ILUSTRACJE
JACEK GUZ

NORBERTINUM
LUBLIN 2000

© Copyright by Jacek Guz, Lublin 2000

Opracowanie redakcyjne
Piotr Sanetra

Skład i łamanie
Agnieszka Jarszak

Na okładce wykorzystano ilustrację Jacka Guza.

ISBN 83-7222-020-4

Dwieście dwudziesty tytuł „Norbertinum”

„Norbertinum” Spółka z o.o.
Wydawnictwo – Drukarnia – Księgarnia
ul. Księżycowa 15 20-060 Lublin tel./fax (081) 533 38 95
norbertinum@norbertinum.com.pl
<http://www.norbertinum.com.pl>

* * *

Nie wiem czym jest literatura, nikt tego do końca nie wie. I bardzo dobrze. Ale nie wyobrażam sobie, żeby mogło jej nie być; nie wyobrażam sobie życia bez języka, bez słowa pisanego; nie wyobrażam sobie swojego życia bez literatury. Każda próba zdefiniowania pisarstwa jest prologiem, wstępem, w najlepszym razie rozwinięciem wstępu, który nigdy nie dociera do epilogu. Jak określić smak, jak wytłumaczyć słodycz, gorycz?

Poezja, proza wykraczają poza czytany wiersz, opowiadanie. Dobra książka jest dla mnie podróżą, przygodą, której echo pobrzmiewa przez całe życie, uwalniając co jakiś czas rzeczywistość z pęt codzienności i umożliwiając jej alternatywny wymiar. Dobry wiersz może być – piszę o tym z całą stanowczością – przeżyciem mistycznym, a przynajmniej pozwala odsapnąć naszej wrażliwości.

Jaka jest dobra książka? Chociażby taka, do której się powraca: kiedy poszczególne fragmenty, zdania nie dają nam spokoju, czytamy je po kilka razy, nie można się od nich uwolnić, i po kilkunastu, kilkudziesięciu stronach znów trzeba do nich wrócić jak do życiodajnych źródeł; kiedy słowa w niej zawarte „ssie się jak cukierki”: ostrożnie, powoli, aby jak najdłużej czuć ich smak. Jak choćby *Wykop* Andrieja Płatonowa, gdzie niemal każde zdanie to nowa figura obrazowania,

to cudowny wiersz, z którego trudno się otrząsnąć (jedno z najpiękniejszych zdań w literaturze, jakie znam, to: „Woszczew wyszedł na dwór, by na powietrzu lepiej zrozumieć swoją przyszłość...”); czy *Zbyt głośna samotność* Hrabala (to od niego ssanie słów jak cukierków), czy też *Ulubiona gra* Cohena, *Gra w klasy*, *Mistrz i Małgorzata*, *Głód*, *Moskwa-Pietuszki* i tyle innych...

Pisanie być może najczęściej bierze się z tęsknoty, z chęci dopowiedzenia, dopełnienia. Rzeczywistość to nie tylko to, co na zewnątrz, to przede wszystkim to, co wewnątrz, bo to przeżycia wewnętrzne, ich intensywność i skala ich bogactwa, kształtują sposób odbierania świata, określają koloryt widzialnego, dźwięczność słyszalnego.

„Człowiek jest światem” – powiedział Leonardo.

Literatura, sztuka w ogóle, zawsze w którymś momencie wyprzedza, przekracza intelekt; siła sztuki to nade wszystko siła uczucia, irracjonalność przecucia, to wielokrotność przeżycia, nieobliczalność emocji, potęga wyobraźni, moc nostalgii za harmonią i metafizyczną pełnią, której nie sposób osiągnąć w życiu.

Ludzka samotność jest bezdyskusyjna. Otwartą kwestią pozostaje sposób jej interpretacji, metody radzenia sobie z nią, styl jej akceptacji. Nie znam lepszego sposobu na dzielenie się nią i jednocześnie jej łagodzenie niż sztuka, literatura.

*

Broszura składa się z wierszy wybranych z tomików *Geny* (1995) i *Wciąż* (1997/98), z niepublikowanego poematu *Zapiski outsidera*, szkicu *Pewnego dnia*; całości dopełniają rysunki mojego autorstwa.

Książeczka ta jest ukłonem w stronę moich czytelników, zachętą lub zniechęceniem dla potencjalnych czytelników, a także tematem pod rozwagę dla ewentualnych sponsorów i wydawców moich kolejnych książek: w przygotowaniu zbiór opowiadań oraz kolejny tom wierszy pt. *Adagio. Allegro. Amoroso*.

Zjawiska

ile oko ile ucho ile język
ile wzrok słuch ile smak może znieść
ile w tym wszystkim razem
w między w poprzez w ponad
ile razy ostatni wiersz ostatni kres
ostatnia moneta uderzająca w twardy chleb

ile razy błogosławiona cisza
ile razy krzyk aż wytrzymanie trzeszczy
ile razy woda w nabrzeżach serca
ile uczuć wierniejszych niż pies
ile w tym wszystkim
w między w poprzez w ponad

a ile uchodzi boczną żyłą
tego co zbyt szybko krew życia traci
zanim odkryliśmy
że naprawdę istniało

1990 | *Geny*

Katharsis

Zaglądałem do miejsc
w których czas gęsty smutek
kładł wstęgę zmarszczek
Na brudnych ścianach obrazy Najświętszej
które tu zawsze
Czysta jest wiara splamiona życiem
Dłonie podobne łupinom orzecha
podały wódkę i chleb

– Siadaj, tu wilgoć przedmieścia
powolnym grzybem roztacza kruszynę wolności,
wiara to krzyż ściśnięty w dłoni żelazny pręt,
najprostsza jest śmierć,
zgraj z błyskiem noża swe myśli.

Zaglądałem do miejsc
w których Bóg pozostawił sumienie
ciężkie i lepkie
jak pot po przepiciu

1990 | *Geny*

Wyjść z siebie

we mnie dużo krwi
we mnie pijany statek
wyławia co żywotniejsze leukocyty
we mnie poci się przepity gest dobroczynny
we mnie rozbiera się kobieta
we mnie miłość nawet do szczura
we mnie rozwiązuje się węzeł gordyjski
zawiażują się spiski
we mnie barczyści robotnicy
rozmawiają o kurwach
we mnie lekarze biorą łapówki
we mnie skazaniec Dostojewski
siwieje przed plutonem
we mnie płaczą niechciane dzieci
we mnie nie kończą się przedstawienie

i jak tu nie wyjść z siebie

1991 | *Geny*



Cel

tempo ocknięć przebudzeń i przywidzeń
ekstaza z zarostem kilkuletnim
lustro bardziej spierzchnięte niż przed rokiem
przeszłe odbicia roni
nie mogąc przejrzeć na przyszłość

tu i ówdzie wiatr napomyka
świtające szpary gdy dzień pielgrzymuje po szybie
przywracając wzrokowi wiarę
cieniowi odległą wędrówkę

a ja – cóż – rozpostarty jak tarcza
czas trafia godzinami
same dziesiątki

1992 | *Geny*

Smak róży

w żyłe w której się wychowałeś
gorąca krew przedwczesnym wytryskiem
zapłodniła czerwień róży
zaczynałeś więc od kwiatu
naukę zakłopotania pięknem

teraz kiedy żyła
wypruła się z hojności
bryzga skrzepami płatków
po komorach serca
nagłym uściskiem odliczasz kolce
ich kłopotliwą dostojność

1992 | *Geny*

Zmyślenie

Im więcej widzę
im bardziej wyczuwam
twoje jednostajne ciepło
Tym bardziej zmyślam
ciebie siebie wszystko
W końcu dostrzegam
że rzeczywistość
zmyśla podwójnie

1992 | *Geny*

W przededniu

nim dogoreją pejzaże
nim miłość dogryzie resztkę zmysłów
nim skończy się wódka
nim się wszystko sobą zachłyśnie
i rozbłyśnie
ten napiętniejszy
piekący wiersz
wszystko przed tobą
bądź niespokojną nadzieją

zegary jak zawsze
nadgorliwe piastunki
zbyt natarczywe w radości i smutku
lecz wybacz zegarom
dzięki nim jesteś
do samego końca
w przededniu

1992 | *Geny*

Ja głos stary

Ja głos stary głos siwy
Wietrzna i chciwa Ociosana krtań z koronek
Spod tartacznej piły iskry trocin
Pielą grunt pod moje decybele
Moim akcentem przycinana trawa

Co się dzieje w sterylnej sylabie
Gdy ją wydaję obolałym przełykiem
Popycham językiem tępe zakończenia zdania
Ja głos mdły lecz godziwy
Po stężone godnością głoski
Podtekst układam Usta jak do litanii
Którą poprzez palec brzytwy
W poprzek mej wargi starej namiętnie wypowiadam

Co tu szlochać pustym dźwiękiem
Szkoda oddechu i powietrznej plejady
Tego co wypowiedziane mogłoby się zdarzyć
Ja głos stary lecz żwawy wiem co mówię
Więc wołam – ja – głos przeżarty głos zdobyczny
Głos sędziwy i doświadczony głos z błędami:
Kto mnie zawoła
Kto przerwie mnie w pół zdania

1995 | *Wciąż*

Słucham Stonesów

słucham Stonesów
jestem gdzieś między młodością
a wiekiem nieznanym
tak jak kiedyś cofam taśmę
i na nowo odnajduję słowa między taktami
chciałbym napisać o tobie
ale wspomnienie o tym musi wystarczyć
na tyle tylko potrafię się po latach zdobyć
za oknem ołów
wiosna jeszcze błędna w nieokreślonym wymiarze
jeśli przyjdzie będzie właściwą porą
by się pozbierać i odnaleźć
jestem między snem a jawą
nie jestem ani młody ani stary
ołów za oknem pocięzał
marszczy się coś we mnie
jak niebo odchodzącej zimy
jak czoło wspomnień
jak czoło czekające zmiany
słucham Stonesów
cofam taśmę jak niegdyś
kiedy łatwiej się pisało
teraz między taktami tyle niedopowiedzeń

1995 | *Wciąż*



Tylko początek jest jeszcze jakimś wyzwaniem

jesteś jak ostatni papieros ostatnia myśl nie kłująca
ostatnie ubranie znoszone i ostatnia deska najeżona
zadrami

jesteś jak ostatni sen lekki o którym pamięć mnie zawodzi
jak ostatni kieliszek wódki który niczego nie może uleczyć
tylko ostateczność przelewa ponad mielizny nadziei

jesteś ostatnia ostatni ostatnie
a to co ostatnie bierzemy bo brać musimy
taki nawyk przyzwyczajenie taka konieczność
i nie pozostaje już nic własnego
od czego można by cokolwiek żądać

nie chodzi o kobietę ani o przyjaciela ani o wiarę ani nawet
Boga
idzie o złożoną białą kartkę która wciąż na nowo się składa
i pozostaje coraz to mniej miejsca na jakiegokolwiek
wyznanie

i chodzi o wszystko naraz co mieści i nie mieści się na niej

1995 | *Wciąż*

Blizna

Między bolesną klawiaturą maszyny do pisania
a głębokim akordem który dławi radio
Między uchylonym oknem jutra
a mułem nocy który działanie w zdziwionej senności
osadza
Jestem otwartym przegubem czekania
i zawsze bliżej
bliżej rozstania
przegub się zrasta

Między miękką sonatą dywanu
a skąpym echem stropu który wieńczy złudzenie
Między przegadaną rozmową
a nie wypowiedzianym milczeniem
Jestem otwartym przegubem
i zawsze bliżej
bliżej rozstania
jest jego blizna i rana

1996 | *Wciąż*

Pustka

Cóż można powiedzieć: wieczór jak co wieczór,
jak co wieczór podobny i co wieczór inny – chudszy.
Herbata paruje resztką tęsknoty,
gwóźdź obojętności wystaje ze ściany,
na nim myśli powieszono, na jutro przygotowane.

Wieczór się odkleja z albumu nocy,
jak co wieczór podobnie i co wieczór inaczej – wolniej.
Ręce bezsenności wyjmują mi oczy i ściskają,
lecz łzy nie nadejdą, sen nie nastanie.

Nie mam noża, żeby wbić go w serce,
nie mam serca.
Mam za to ciało nie swoje,
myśli przemyślane zbyt wcześnie,
obcych przyjaciół, znajome dreszcze
i powietrze, którym nie sposób oddychać.

Więc nie oddycham tego wieczora,
kiedy herbata skończyła z parowaniem
i gwóźdź wypadł ze ściany
i wyparowało powietrze, którym gardziły płuca
i którym nie miał już kto oddychać.

1996 | *Wciąż*

Szachy

To nic że szkło przejrzyste na wylot
muzyka się kończy i muzycy przedwcześnie umierają
To nic że zadra wielka jak statek wielorybiczny
harpunami w duszy zakotwiczyła
Zadra jest by cierpieć i się zrażać
Cierpienie by się oczyszczać
Zrażenie by się odnawiać
i zarażać czułym uporem

To nic że piersi kobiety wiotczeją
przysięgi próchnieją i wieczny jest tylko testament
To nic że pożera nas pamięć
koryguje umysł zwodzą słowa
a dotyk w błędzie dotykania nie ustaje
Że poeci zamiast pisać tego popijają
jednym duszkiem zalewając wypaloną próżnię
To nic to taka gra
szachy upadania i powstawania
Jedno pole się zajmuje drugie zwalnia

1996 | *Wciąż*



Jest jak jest

Jest południe Nie samo Trochę po
Jest papieros uwięziony w dłoni
Sięga filtra rozważanie Jego żar gaśnie na palcach
Pod nabrzmiałym ciastem nieba Niezgrabny fragment
czasu i świata

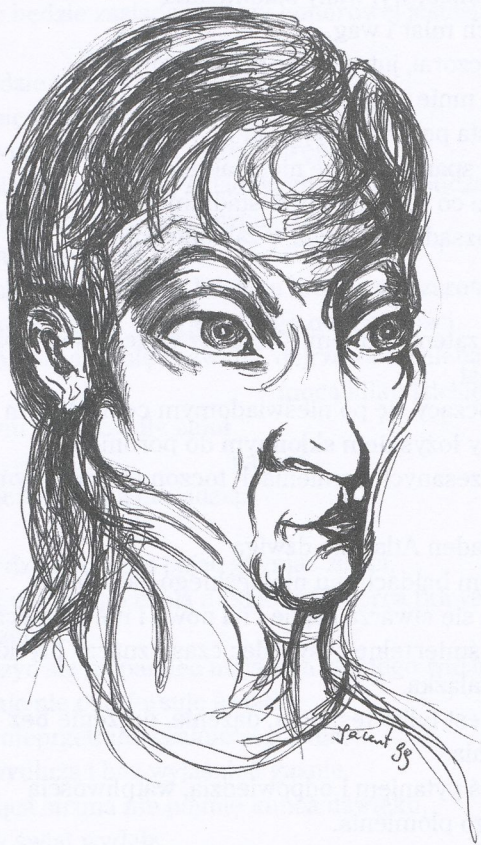
Mogłaby być prorokiem Jaskółka z łukiem skrzydeł
Nie stało cięciwy I ptak umknął bliżej
Rozwartej ciepłoty śliskiej Będzie padać
Póki co jest jak jest Szkoda gadać Znikąd wsparcia

Ale zawsze nieopatrznie Tych kilka słów
Się ciśnie Czy to z mroźnej pary krystalicznie
Czy też z drgających falbanek tropiku się wyłania
Potrzeba ku pokrzepieniu się głębszej zgryzocie Umyka
przed grobem

Samotności Świst sylab błysk oka odwracanie głowy
I patrzenie przed – na organ zwany przyszłością
Wiecznie poddawany operacjom modulacjom tęsknotom
Wpisany w rejestr zwiększonego ryzyka

Jest trochę po kolejnym najgorszym Trochę po południu
Przed deszczem i przed następnym „szkoda gadać”
Pachnie błękitem Wypieczone ciasto nieba
Nad niezgrabnym fragmentem czasu i świata

1997 | *Wciąż*



Zapiski outsidera

Czuję się obco, wyrwany z kontekstu
potocznych miar i wag.

Dzisiaj, wczoraj, jutro pełne podtekstów
testują na mnie swój smak.

A moje usta pełne żenującej gry,
moje usta sparaliżowane niesmakiem.

A we mnie co rusz końcowe stadium mgły
zdrowy rozsądek wprawia w zakłopotanie.

Brrr...

Jesteś mi zatem druhem, skoro już wszedłeś nieopatrznie
w ten temat,

w świat toczący się po nieświadomym celu, ślepym torze,
podążający łożyskiem skłonnym do poronień,
po nieokrzesanych kamieniach toczony karłowatym
losem,

którego żaden Atlas nie dźwiga
ani nad nim baldachimu niebieskiego sklepienia.

Wszystko się stwarza ciągle i na nowo i nie ostatecznie.
Stygnące śmiertelne rysy rylec czasu znaczy błyskiem,
ostrzem załążka.

Wieczna jest tylko tęsknota, dążenie, drażnienie bez
opamiętania.

Sam jesteś pytaniem i odpowiedzią, wątpliwością
skaczącego płomienia.

Płoniesz z nim i w nim, przesuając niewytrzymań
granice,

a potem każdej rzeczy, której dotknął, stajesz się cieniem,

pasjanse z niewytłumaczalnych przeczuć próbujesz ułożyć
w sensownym rzędzie.

Wszystko w każdej chwili może runąć i oprócz pamięci
doznania

nic nie będzie zasiadać w łoży honorowej jestestwa.

Nic dane

nie będzie na pewno, do końca.

Żeby się wydobyć z przepychu lub nędzy

i dać wiarę drugiemu, że też odrębny,

stając się plazmą, nicią Ariadny, chuchem wódczanym,

stopą tancerki, maską clowna, sobą samym

– na samym końcu.

Żeby się wyodrębnić z luksusu lub kurzu szarości

i dać świadectwo drugiemu jego odmienności,

skrzyp poznania się rozwidła, dojrzewa do nieba

mocą kilkudziesięciu ramion

i niczym stuskrzydły anioł

zawisa

nad nieświadomą czeladzią.

Za bardzo chciałem pojąć grymas złości,

opisać otwartego czoła dokładność, serca tkliwe

zanurzenie

i nauczyć się na pamięć majaczeń sennego widziadła.

Lecz nic nie przeforsuje światła,

które nieprzetłumaczalnie rozjaśnia,

cień wydłuża i bez wyjaśnień gaśnie.

Drgająca struna nie pojmie końca dźwięku,

jaki na świat wydała,

To już jego droga, wibracją sama w sobie doskonała.

Milczenie we wszystkich językach brzmi tak samo,

choć niemoc a na przykład zużycie tematu
to już różne tonacje bezczynności głosu.
Także krzyk na rozmaitych falach swej podniosłości
temperament zdobi

i chrypienie późniejsze
w różnym stadium rdzy
jest wynikiem odmiennej metaliczności.

Czyjaś miłość czyjeś oczy zapala.
Moja dusza odpruta od ciała;
w negliżu, jednak niewidzialna,
łasa na pokusy, w każdą rozpadlinę wrasta.
Przez zawilóść korzenia, powściągliwość łodygi,
staje się znużonym kwiatem.
Czyjaś ręka czyjeś życie skraca.
Dusza do ciała powraca.
Teraz ciało, choć w przetartej skórze,
musi się zaopiekować prześwieconą kliszą duszy.

Dziewczyna, co obok dwoi się i troi w swej bieżącej
miłości,
błądzi zaledwie po bezdrożach jego nieobecności.
Bo oto sto ciał przez jego ciało się przewala tabunem,
i z każdego coś pozostanie na pośmiertny postument.
Niech chwila obecna, uosobiona bielą dziewczęcej cery,
wybaczy bezdenną ciszę, lecz w niej bój żywotniejszy
od najkochliwszego plemnika samotność kruszy.

Jeszcze dyszy
posępny dramat wielkowiejskiej pustki,
nad którym ciężar nieba się wzmaga.
Ptakom pod naporem chmur milkną skrzydła,



Krew, najpierwsza muza poezji,
na prześcieradle koniec dziewiczej podróży znaczy.
Szczęśliwy traf się zdarza tysięcznej części sekundy,
przypadkowa ulga oddechu u wrót kolejnego domu, ulicy,
miasta.

Usta, piersi, tajemnica łona, następna serca przepuklina.
Nic się nie chce ręce i nodze

w tę mętną porę,

między latem a jesienią

liście się mienia

amarantem i złotem, wąskim zaułkiem przeciska się
słońce.

Przymknięte oczy staruszka na ławce w łysiejącym parku,
tumulit dziesięć wyobraźni pod kasztanowcem, zapach
pizzy,

zamiana świateł na skrzyżowaniu.

W wyniku ostatniego upalnego południa uliczny żywy
inwentarz

skurczył się, przymilkł. Prosty jak drut ogon jamnika
skręca

się w komentarz.

Begonie ramy ogrodu pokonują,

pędami za ogrodzenie wypuszczają się piwonie,

kołyszą się podekscytowane perspektywą listopada

chryzantemy,

zawsze aktualne róże czerwienią się ogromnie,

w namiętnej odświeżonej kolejnej romantycznej sceny.

W peruwiańskiej selwie, pod bokiem jeszcze nie

upolowanego jaguara,

orchidea swoje wnętrze ogromnemu motylowi

ujawnia.

W wygodnym wnętrzu forda wrześniowa młodość na
skórze pantery
się rozsiada i mknie jak dane z komputera po kolejny od
życia mandat.

Wiatr nie mogąc swej potęgi pośród betonu zmieścić,
ruszył na pola wraz z wronami;
wydobywać trud ukryty pod skibami,
płatać satyrom brody,
na grzebieniu lasu zostawiać akordy.

W październiku nad Lublinem, Krakowem, Gdańskiem
atrament nieba pamięć lata splami.

Wiersze, których nie chciał żaden tomik, będą się snuć
bezpiecznie
pod szybko jaśniejącymi, zatrzaśniętymi oknami.

Tymczasem po zmiętej tkaninie rezygnacji

szusuje gorące żelazko.

Usta umoczone w winie szepczą śliskie kwestie

winne.

Nikt nie jest winny, że początek zapomniany, koniec
nieznany.

Lecz wiem, że to co było – skończone, zamknięte w tym
wydaniu,

w tym kształcie przejrzone.

Dalej trzeba myć zęby, wychodzić z psem na spacer,
ale spalać się trzeba już inaczej, mniej łatwopalnie;
pod innym kątem upatrywać wzniesień i upadać tylko
fragmentem.

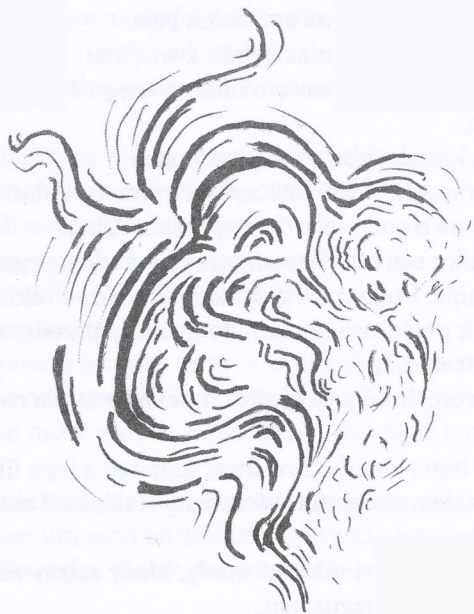
Płonące wybrzeże Sahary z widokówką płonącej żyrafy
w tle,

idące z dymem hektary lasów w Australii, w Grecji ogień
oblizujący
się na Olimp. Żywe pochodnie, Polak i Czech, na martwej
tkance ustroju,
samotny Hindus płomieniem wędrujący do niebytu. Płoną
czoła,
zwłaszcza młode, gniewne po siwiznę skroni.
Nabiera masy zwątpienie, kiedy my chudniemy;
chucha na nas, zimnych strażników bezpiecznego
rozsądku,
rozsądnego przyzwyczajenia.
Aby żyć wystarczy jedna nerka, jedno oko, jedna strona
serca.
Obędzie się ludzkie płuco bez płuca nieba.
Współczesność, anemiczna rewia.

Pod północnym nieba uroczyskiem
bezmysłne kule latają nisko.
W sam raz by dopaść postać:
metr osiemdziesiąt, barczysta. W restauracjach,
mieszkaniach
i samochodach skrupulatni porządkowi – bomby sprzątają
do czysta.
Irlandia, zielona wyspa...
z niepokojem na południe spogląda, niewyspana,
całą noc po protestancku i katolicku się modliła za pokój
na Bałkanach.
Czy Bóg wiedział, co czyni, dając pakiet przykazań
do swobodnej interpretacji koślawym figurom ambicji,
zachciankom narracji;
pozwalając tłumaczyć swoją miłość i słowo

niskim Hitlerom, Pol Potom, odczłowieczonym bogom.
Wyrwij mi serce, złam serdeczny palec,
jeśli bluźnię i kłamię.
Zresztą w tej chwili serca skompromitowanego
ani serdeczności w palcu piszącym nie znajdziesz.
Odszedłem w nieprzejrzystość lasu,
w lepkie mchu milczenie.
Gdy przerwie je podstarzały młodzieniec,
może określi tę polanę na skraju zapomnianego a przed
nieznanym,
zasiedli trawą wydeptaną codzienność.
Duchy poznawszy za życia kruchość i sypkość
zawczasu przerażone pożywiają się wizją:
doczołgać się chociaż częstką duszy do Elizjum.

Język miota poetą, poeta ciska kartką w ką.
W tym kącie czas zapamięta chrzest załamanych słów i
zakłopotany
dobije do północy.
Puszki, markizy, rzężąca gitara. Bełkot neonów. Dwóch
mundurowych
przygląda się, jak trunkowy walczy z automatem
telefonicznym,
w którym ugrzązł kochany głos. O północy trzeźwieje
sowa,
samotna dusza przeciera oczy. Barman ściera mokre
światła z czoła,
mniej się troszczy o dokładność miarki, sztywnieje nad
kontuarem
ćma barowa.



Facet 99

O północy kobieta w kawiarni maluje szminką filtr papierosa.

W jej oczach chochlik postawił po dwie źrenice.

O godzinę pyta znad szklanki znudzona jasnowłosa, wypychając na blat pełne swobody cyce.

Dobry początek, ale ona nie chce ani o Tolstoju, ani o Mozarcie, a o Wojaczku nawet nie słyszała.

Po ciężkiej pracy nie jest w nastroju, tak ją wysmagała czyjaś swawolna pała.

„Zawsze pozostaje ta możliwość: z wnętrza wyjść na ulicę...” Za wersem ofiarowanego światu Rosjanina,

z parzącą książką pod pachą wychodzę.

Który to raz, nikt by nie zliczył tych wnętrz i ulic.

W sobie i na trotuarze kolejny przechodzień.

W śmietniku starcze ręce nie szukają doskonałego kształtu, lecz jedzenia. Polityczne graffiti. Dokuczliwe reklamy. Koniuszek papierosa odtajnione gwiazdy przedrzeźnia wątlym żarem.

Ostatni promyk konającej sztucznej latarni zza rogu.

Kilka dni temu zmarł Kurosawa; żadnego z jego filmów nie obejrzałem w całości. Wcześniej Halik zdał ostatni błysk flesza,

ziemi należne kości. Akurat wtedy, kiedy zatrzymaliśmy się nad martwym jaguarem.

Orchidee pozostały

z obnażonym przed motylem wnętrzem.

W sklepach mięsnych Moskwy bardziej od zwierzęcych ludzkie się uzewnętrzniają wnętrzości; rubel skręcił kark o czterdzieści procent wartości.

O kilka oddechów wyludnił huragan wybrzeże Florydy.
Polskie drogi okupują rolnicy. Gdyby
nie import zboża i chmielu,
Kowalscy na czas dojechaliby do celu:
domu, biura, likwidowanej kopalni.
Cel... odległe słowo, dzikie, mityczne, obrosłe.
Bezludną bananową wyspę wyświeca prospekt.
Dom, samochód, dziecko, lepsze zdrowie,
cele, realizowane najwyżej w połowie;
jasne i mgliste, dalekie jak zasięg rakiety,
głębokość smutku, jak parking bliskie.

Ta latarnia, którą widzę, przyświeca rozbitkom.
Tym, co głową w mur walili, nadstawiali karku,
rozdierali szaty, upadali, przegrywali
i nie mogąc przełknąć goryczy porażki,
znów zaczynali miłość rozpoznawać
pomimo zmarszczek na sercu,
życie podnoszącym się, wewnętrznym słupkiem rtęci
odmierzać od nowa, od zera, w innej skali.
Malarz nie może obrazu skończyć, za wcześnie o ramach
pomyślał
i teraz blednie mu co rusz czerwień zawistna.
Magazynier umoczył na giełdzie wszystkie oszczędności.
Jonasz w brzuchu wieloryba gra sam ze sobą swoimi
kości. Ktoś ogląda „Album rodzinny”, rąbkiem obrusa łzę ociera,
ktoś inny patrzy w pejzaż miejski i ziewa.
Komuś mnożą się pytania jak kijanki w kałuży,
ktoś inny dobrowolnie rozbudowuje konglomerat
zwątpienia.

Różna szerokość uśmiechów na twarzach, strach mały i duży.

Rozpęda się pragnienie, uderza o niebo wzruszenie pozbawione cienia.

Niebo to przedłużenie wyobrażenia, ramienia życia, stwarzające iluzję możliwości, osiągnięcia, spełnienia.

Niebo dzisiaj w spokojnym błękicie, bez chmurnych podtekstów,

z kilkoma ledwie wątpliwościami, pęcherzykami obłoków.

Dobre życie, muzyczne, melodyjne, chociaż nie zawsze taktowne.

Melodia życia różne przybiera formy, wyraża się przez różne instrumenty.

Od zwariowanej fugi po marsz żałobny wędrują strunowce i blaszaki dęte.

Kantaty, bolera, walce, tanga, koncertowe sola.

Skacowany jazzman synkopując dochodzi do siebie, taka dola.

Blues nisko się pochyła, gdzie czerń i nędza, nizinami chrypiąc krzepi duszę, smutek z serc wypędza.

Na deser, na koneserów apetyt olbrzymi, struny smyczkiem skleci mistrz Paganini.

Ciężka melodia na dziobie kruka, szorstka, podobna skowytowi zboląlej krtani, przenikliwemu szuraniu.

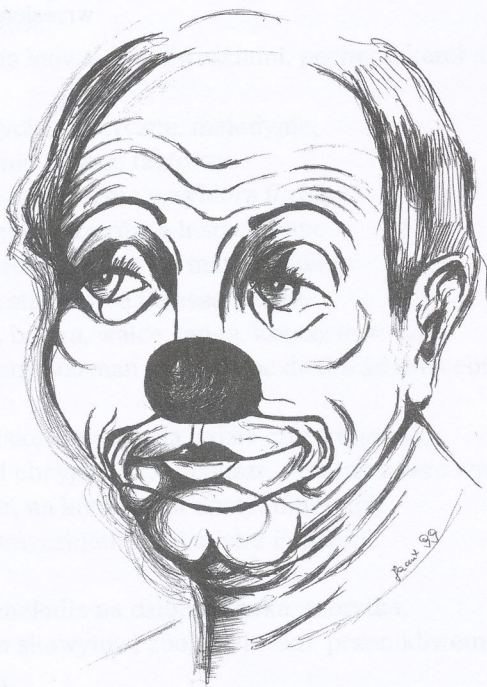
Koniec końców nowe to stare tylko w innym opakowaniu.

Zapomniane przypomina się niespodziewanie, nieznane bywa przeczuwane.

Nic się nie zaczyna i nie kończy,

to tylko otwierają i zamykają się oczy.
„Zwilża się łą...” niewinną, czystą
(stuknął mnie Josif w język cytata soczystą)
„...wpatrzony w noc źrenicy kryształek”,
obmyśla na niebie epitafium doskonale.

wrzesień 1998



Pewnego dnia

Pewnego dnia nadchodzi zmierzch: cięższy i bardziej gęsty od poprzednich, tak jak i poprzednie świty były jaśniejsze, bardziej obiecujące i przejmujące od ostatniego. Można odsuwać myśl o nieznośności tego zmierzchu, można przekomarzać się ze świadomością, że oto nadszedł, można też pogodzić się apatycznie z jego stanowczą ciemnością.

Ale można również przyjrzeć mu się uważniej, ażeby stwierdzić, iż jest on substancją wynalezioną na życzenie zmęczenia, reakcją permanentnego napięcia, które kreśli wszystko grubą kreską, czy też wreszcie, że jest on ukojeniem dla organizmu i duszy, zesłanym przez stającą w ich obronie obojętność.

Ciemność zapada, aby zakryć, ukoić, zamroczyć, wyciszyć, aby zwodzić, wygładzić, zamazać, otępić, ogłupić albo wyczulić; ciemność jest zwodnicza i niejednoznaczna...

Pewnego dnia trzeba bardziej niż kiedykolwiek rezygnować, trzeba bardziej niż przedtem chcieć; pewnej godziny, chwili zaskoczyć siebie tak wysokim ryzykiem.

Co jakiś czas trzeba na nowo się uczyć, nie dając się temu, co poznane, doprowadzić do ostateczności. „Swoją ciekawość świata należy nieustannie doskonalić”, jak to pięknie i trafnie powiedział poeta (Ezra Pound). Jednakże, gdy pewnego dnia nadchodzi zmierzch bardziej gęsty i cięższy od poprzednich, słowo „doskonalić” wydaje się co najmniej niezręczne, nie na miejscu, wydaje się być tragiczną (żałosną) pomyłką, jest zupełnie nieadekwatne do sytuacji; bo oto trzeba bić się ze sobą, z wiedzą, myślami, uczuciami, gryźć się, rozpełzać, składać na nowo, maniakalnie głuchnąć, z furją

powtarzać, roztargnienie karcieć i mu się poddawać, niechęć kopać do nieprzytomności, wychodzić z siebie i z impetem powracać, tylko po to, by wykrzesać odrobinę zainteresowania; a przecież do ciekawości świata – ileż jeszcze ponurej mordęgi, ile ciosania, błagania, gróźb i skarg, ileż napięcia i próżni zarazem, ile torsji, maligny, pustych oczu, spierzchniętych warg, mokrego ciała i nieprzytomnego umysłu.

Widzieć coś tysiąc razy i za tysiąc pierwszym się zachwycić, to sztuka tysiąc razy większa, tysiąc razy dramatyczniejsza, bardziej desperacka i jednocześnie bardziej urzekająca niż zachwyt pierwszego spojrzenia.

Pewnego dnia samobójcze jest każde słowo; każdy obraz zanim się ukaze w pełni – znika, ślina strzyka transcendencją, język trafia w transcendentny wymiar. I trzeba szukać oparcia, poparcia, wsparcia i urzeczywistnienia, dotykalności i potwierdzenia; namacalnego widzenia, obrazującego słyszenia; należy oswoić nowe pojęcia jak zdziczałe zwierzęta, pojęcia, które wzięły początek, wywodzą się od rzeczy znanych do znudzenia, do obrzydzenia, teraz jednak nie wiadomo dokąd, do czego zmierzają. A potem jeszcze przetransponować je w ogólnie dostępną czytelność, przyswoić im rozpoznawalny alfabet, nie pozbawiając ich rys i pęknięć przeszłości, naznaczyć je piętnem odkrycia nowego w starym, w końcu wreszcie wywalczyć dla nich przychylność, uczynić z nich szlagier zmysłów, które zrzucą skórę znużenia. I nieustannie je prowokować do niezadowolenia, a kiedy temperatura staje się nie do wytrzymania, trzeba opuścić centrum, znów wyjść na zewnątrz i przypatrywać się z boku, żeby odzyskać świeżość spojrzenia.

Pewnego dnia nadchodzi zmrok cięższy i bardziej gęsty od poprzednich, ale i świt się gdzieś za nim czai bardziej lek-

ki i przejmujący, jaśniejszy niż wszystkie przed nim. Pewnej godziny pojawia się taka myśl:

Poznanie samo w sobie nie przynosi ulgi ani szczęścia, lecz zgłębiając wiedzę o sobie i świecie, odkrywamy nowych siebie, nieznanne światy. Odkryte konstelacje przyćmiewają dawne bolączki, wyjaławiają zapamiętane chwile szczęścia. Błyskające meteory niosą zapowiedź nowych wzruszeń, przy których dawne rozterki okazały się igraszką niewinnego ukłucia; światło, które błyszczało dla nas szczęściem, zda się być pozłotkiem. Nowa świadomość, czy raczej uzupełniona, bogatsza, podsuwa smak nieznanego zwycięstwa, smak nigdy wcześniej nie przełkniętej gorzycy porażki. Niewiadoma wyżyn to także niewiadoma nizin. Bunt i opozycja zarówno wobec cierpienia, jak i szczęścia mogą powiedzieć nam cokolwiek o nieskończoności, nie skazując nas na śmierć w jednym „ja”, w jednym, ledwie poznanym, świecie.

2 lipca 1997

Spis treści

| | |
|--|----|
| [Zamiast wstępu] | 5 |
| Zjawiska | 9 |
| Katharsis | 10 |
| Wyjść z siebie | 11 |
| Cel | 13 |
| Smak róży | 14 |
| Zmyślenie | 15 |
| W przededniu | 16 |
| Ja głos stary | 18 |
| Słucham Stonesów | 19 |
| Tylko początek jest jeszcze jakimś wyzwaniem | 21 |
| Blizna | 22 |
| Pustka | 23 |
| Szachy | 24 |
| Jest jak jest | 26 |
| Zapiski outsidera | 28 |
| Pewnego dnia | 43 |



ISBN 83-7222-020-4